WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Wydawca: KONSTANTY WOŹNIAK. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon Nr. 309. Redaktor: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Nr. 7. Kraków, dnia 26. sierpnia. 1900.

Piewca Starego Miasta.

Ruch uliczny Warszawy koncentruje się na dwóch głównych arteryach, z których jedną jest ul. Marszałkowska, drugą Krakowskie Przedmieście. Tłumy ludzi, nieprzerwanym sznurem ciągnące tramwaje i dorożki, nadają tym ulicom miasta niezwykle ożywiony charakter.

Wystarczy jednak przejść plac Zamkowy i wązką uliczkę koło Fary aby znaleść się w zupełnie innym świecie. Warszawa, węgodła, zdobiące mury odwiecznych kamieniczek, przemawiają do duszy naszej dziwnym jakimś urokiem, prawiąc ciekawemu przechodniowi o dawno minionej przeszłości, o ludziach, którzy tu niegdyś żyli i działali, o pełni życia wrzącej niegdyś wśród tych murów, co ustąpiła dzisiaj miejsca pleśni i zgniliźnie.

Pochylone od starości domki staromiejskie, służyły za mieszkanie wielu już zewnętrzną i wewnętrzną, czyniąc z nich w ten sposób typy na wskroś oryginalne a niezwykle sympatyczne. Śmierć przerzedza ustawicznie ich szeregi, od czasu do czasu czytamy np. w gazetach iż emeryt X. który w 90 roku życia zakończył ziemską wędrówkę, skonał w tym samym pokoju, gdzie ujrzeli światło dzienne jego dziad i ojciec... To fala życia zamknęła się nad jednym z typów staromiejskich, wnego uroku, nastrajając przechodnia do smętnych dumań na temat dawno ubiegłej przeszłości...

A przecież, mimo poezyi jaką roztacza ten cudowny zakątek Warszawy, długo nie było poety któryby wyśpiewał jego tajemniczy, pełen rzewnej powagi nastrój, echa przeszłości długo drzemały w murach Starego Miasta, czekając na kogoś, coby je zbudził.



Warszawa: Stare Miasto.

Klisza z wydawnictwa „Kraj w obrazach.

złowy punkt handlu między zachodem a wschodem Europy, miasto tętniące gorączkowem życiem, znika nagle z przed oczu naszych, a miejsce jej zastępuje nowy odmienny świat. Oko przywykłe do regularnych ulic i świetnych kamienic, ze zdumieniem błądzi po ciasnych zaułkach Starego Miasta, zatrzymując się z ciekawością na wysokich a wąskich domkach. Wszystko tutaj ma swoją odrębną cechę. Kunsztowne oddrzwia, żelazne kraty, stare okiennice i dziwaczne pokoleniom, a i dziś jeszcze mieszczą w sobie ludzi odmiennych od tych, którzy chodzą po Krakowskiem Przedmieściu lub placu teatralnym.

Zda się, iż Stare Miasto wyciska na swych mieszkańcach osobne piętno jakiejś antyczności, która wyróżnia ich z pośród gwarnych i strojnych tłumów, zapełniających ulice miejskie. Atmosfera staromiejska tego cudnego zakątka, przykrywa jakby szklanym kloszem tych ludzi starej daty, konserwuje ich odrębność tc przeszedł do lepszego świata człowiek, o imieniu znanem może niegdyś w szerszych kołach Warszawy, który dziś skonał w zapomnieniu, zwróciwszy swoją śmiercią po raz ostatni uwagę ogółu...

W tym cichym dziś zakątku wrzał niegdyś ruch handlowy; teraz przeniósł się on na wspaniałe ulice nowej Warszawy, ale na miejscu opuszczonem przez ducha kupieckiego zjawił się duch poezyi, objął w posiadanie Stare Miasto, otoczył garbate domki i ciemne zakamarki nimbem dziPrzyczyny tego trudno byłoby dociec, konstatując więc sam tylko fakt, zaznaczamy zarazem, iż długie oczekiwanie opłaciło się tym razem sowicie, gdyż to, co wyśpiewał Or-Ot (Artur Oppman) o Starem Mieście przeszło nasze najśmielsze nadzieje.. Urodzony liryk, odczuł sercem cały urok, wiejący z tego cudnego zakątka Warszawy, pokochał wąskie jego uliczki i wsłuchał się w tętno jego życia, aby zakląć w szereg prześlicznych obrazków wszystko, co Stare Miasto w zakresie piękna i poezyi

posiada. Chcąc dać czytelnikom naszym choć słabe wyobrażenie o mistrzostwie, z jakiem spełnił poeta swoje zadanie, przytaczamy poniżej parę wyjątków z cyklu zawartego w „Wyborze poezyi," który się niedawno ukazał.

Szewc Onufer.

I.

Szewc Onufer, tęgi majster
Z ojca, dziada i pradziada.
Od małego pacholęcia
Tajemnice kunsztu bada.

Wedle igły, wedle dratwy,
Jak niewielu jest on świadom.
Zaś ma warsztat w kamienicy
Co współczesna jego dziadom.

Przy kościele Augustynów
Stoi chata Onufrowa
W niej po szewsku i Bożemu
Konsolacyę liczną chowa.

Dobry sąsiad z Onufrego
Dla plebanii i świątyni
Nie opuszcza nabożeństwa
I fundacye liczne czyni...

II.

Ma Onufer Onufrową.
Urodzeniem sobie równą,
Bo powiadał jego rodzic:
„Niech się żeni szewc z szewcówną!"...

Jejmość pani Onufrowa.
Córa majstra Jana Szczygła,
Parantelą i posagiem
Ród mężowski w górę dźwigła.

Jak przystało na majstrowę
W korpulencyą jest zasobna.
Głos jej gruby, gest wspaniały.
Pulchna rączka niezbyt drobna.

Z roku na rok jest przybytek
W starych mieszczan cnej rodzinie,
Więc raduje się Onufer.
Że ród szewców nie zaginie...

III.

W czterech izbach Onufrostwa
Nie ubogo i chędogo
Wszak mieszczanie z prapradziada
Iść w paragon z szlachtą mogą.

Garnitury jutą kryte,
Wielkie szafy, zydle drobne,
Simmlerowskiej znać roboty,
Bo masywne i ozdobne.

Zaś na ścianach konterfekty:
Cały znany świat mieszczański,
A „serwantka" w rogu salki
A kantorek w drugim gdański.

Nie od dzisiaj ród Onufra
Słynne w świecie szyje buty,
Nie od dzisiaj zbiera grosze
W skrzyni krzepkiej i okutej...

IV.

Gdy kolegów majster zbierze
Od kufelka i od dratwy,
Spędza z nimi błogie chwile
Wśród krewniaków i wśród dziatwy.

Przewodniczy stary Szczygieł
Z gęstym wąsem, z głową siwą —
Płynie ciurkiem anyżówka
I marcowe szumi piwo.

Radby majster żyć przez wieki
Z towarzystwem swem cechowem,
Rad ich zalać spirytusem
Skąpać w piwie dubeltowem.

Więc węgrzyna na stół stawia
Przy kompanii hucznych śpiewach —
„Niechaj żyje cech szewiecki!
Znajcie pana po cholewach!..."

V.

Choć ma grosze szewc Onufer
W skrzyni krzepkiej i okutej,
Chce, by jego Onufrzęta
Tak, jak Ojciec, szyły buty.

Nauczyła ich majstrowa
Kochać igłę, cenić dratwę,
Zaś szacunek dla pociegla
Sam pan majster wpaja w dziatwę.

Nieraz prawi najstarszemu
Z głębi serca morał suty:
„Grunt są, chłopcze, dobre nogi!
Grunt na nogach dobre buty!...

Ty z tradycyi jesteś szewcem,
Szewcem z dziada prapradziada,
Godność rodu cenić, chłopcze,
I należy i wypada..."

VI.

Płyną lata, niby fale,
Nie wracają nigdy więcej —
Już wyrosły Onufrzęta
Z doby życia pacholęcej.

Już wyrosły Onufrzęta,
Szyją „juchty" szyją „saki" —
Łeb posiwiał Onufremu,
Nos mu zgrubiał od tabaki.

Do kościoła Augustynów
Codzień zrana chodzi stary,
Zaś pod wieczór, regularnie,
Na nieszporach jest u Fary.

Klepie pacierz szewc Onufer
I za dzieci i za siebie
I rozmyśla, że szyć buty
Będzie wkrótce chyba... w niebie.

Trzy boginie.

I.

Dwie czyściutkie zajmują komnatki,
Panna Ewa i panna Rozalia,
Nad łóżkami palmy, w oknach kwiatki,
Na stoliku kart zużytych talia.
Drzemie stary kot na starym ganku,
Stare piosnki szpak staruszek śpiewa,
Zaś królują w tem starem mieszkanku
Stare panny: Rozalia i Ewa.

Pyszne typy miałby z nich artysta,
Nim staruszki skryje darń mogilna;
Jedna szczupła, druga przysadzista.
Jedna smętna, druga krotofilna.
Gdy w mantyle wystroją się „modnie".
Gdy podwiną siwe włosy w nioby,
Na ulicy ciekawi przechodnie
Podziwiają „odwieczne osoby.."

Wszystko niszczy bystra czasu fala.
Nie oszczędza najmilszego kwiatka.
Panna Ewa i panna Rozalia
Dawno przeszły Jezusowe latka.
W krwawych grobach śpią szarmanckie [chwaty,
Co duserów prawili im tyle —
Wtedy obie były jako kwiaty
Dzisiaj obie są jako badyle.

II.

Przyjaciółką nierozłącznej pary
Jest garbata panna Domicela,
Na wotywę w trzy codzień do Fary.
W trzy na sumę chodzą co niedzieia.
Z miną wdzięczną i dziewiczo skromną.
Siadłszy w ławie, co ołtarza blizka,
Każda księgę rozkłada ogromną.
Okulary każda na nos wciska.

Gdy zamilkną organy w świątyni.
Gdy ostatnie księdza cichną słowa,
Trójka panien mały spacer czyni,
Nim nadejdzie pora obiadowa.
Drepczą z pompą, ubrane od święta.
Jak przekupki językami mielą:
„Punkt o czwartej! Niech pani pamięta!
Będzie placek, panno Domicelo!..."

Domicela o godzinie czwartej
Na panieński spieszy podwieczorek,
Nim zakipi kawka, wróży z karty,
Lub nowinek wysypuje worek,
Panna Ewa urząd ma kawiarki,
W filiżanki leje nektar słodki —
Niknie kawa, znikają sucharki,
I kursują staromiejskie plotki...

III.

Choć na zbytki fundusz nie pozwala,
Trzy boginie biedy nie zaznały:
Mają w banku Ewa i Rozalia

„Psubraty".

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

Nazajutrz hr. Opowski był na obiedzie u Müllera i odtąd był już nieodstępnym towarzyszem panny Janiny. Ubrany według ostatniego szyku mody, z monoklem w oku, z jasno-blond miękką niewielką brodą, lekko rozdzieloną poniżej ust, z nadzwyczajnemi kamizelkami, krawatkami i śpilkami, stanowił typ wytwornego szlifibruka ale budził więcej sympatyi niż zaufania. Mimo bowiem, iż rysy twarzy, bardzo regularne, miały w sobie coś szlachetnego, w oczach migały jakieś niepewne błyski, a w manjerach zresztą zupełnie poprawnych, raziła pewna lekkomyślna nonszalancya.

— Droga pani — mówił hr. Włodzimierz przy czarnej kawie, dłubiąc w zębach wykłuwaczką z kości słoniowej o złotej oprawie — mam lat zaledwie dwadzieścia pięć, ale przeszeduem więcej, niż wielu ludzi co póu wieku przeżyli. Nikczemna moja rodzina postąpiua sobie ze mną niegodnie. Poprostu usiuowaua mnie popchnąć do samobójstwa. Tomy możnaby byuo pisać o tych pouożeniach bez wyjścia, w jakich się znajdowauem. Energią i wuasną pracą zdouauem się tylko utrzymać na tej towarzyskiej wyżynie, na jakiej się dziś znajduję. Niech pani sobie wyobrazi, że aby żyć, musiauem się chwycić dziennikarstwa, i pisywać do radykalnych nawet piśmideu. Ale i tam ludzie obeszli się ze mną niegodnie; oszukano mnie najbezecniej, niezapuacono mi za moją ciężką pracę, pracę bez wytchnienia, o jakiej pani nie ma nawet wyobrażenia. Nie wiem, co byubym zrobiu, gdyby nie to, żem w wagonie poznau posua hiszpańskiego wracającego z Petersburga, który się ze mną zaprzyjaźniu i do siebie zaprosiu. Siedziaubym w Madrycie w nieskończoność, gdyby nie to, że mojego przyjaciela przeniesiono do Waszyngtonu, a Ameryki jeszcze nie jestem ciekawy. Wróciuem więc do kraju, gdzie zaraz na wstępie poznauem księżną. Dowiedziawszy się od niej, że mogę państwu być użytecznym, rzuciuem wszystko i jestem na wasze usuugi.

Janinchen prędko przeniknęła wartość złotego młodzieńca; to też gdy hrabia Opowski pożyczył następnego dnia od Gottlieba pięćset florenów przyrzekając, że mu za dwa dni pod „słowem honoru" odda, nie tylko nie zdziwiła się bynajmniej, ale nawet przestrzegła byłego oberżystę, aby nie upomniał się przypadkiem o zwrot pieniędzy.

— To było honoraryum na przysługi jakich od niego potrzebujemy. Niech on to sobie zatrzyma. Ale więcej mu nie dawaj bez porozumienia się ze mną.

Hrabia Włodzimierz Opowski naturalnie o dotrzymaniu słowa honoru nie myślał, ale wywiązywał się ze swego zadania zupełnie wzorowo. Wprowadzał na salony Müllerów jednego za drugim młodzieńca o wytwornych manjerach i jakiem takiem nazwisku; przysyłał dla panny Janiny zaproszenia do udziału w dobroczynnych wentach i rautach; zapoznawał tam ją z paniami wiedeńskich wyższych sfer; doprowadził wreszcie do tego, że baronowa Lopetics zaprosiła Müllera i jego córkę do siebie na fajwoklok, nie mogąc niczego odmówić „kochanemu hrabiemu Włodzimierzowi."

— Jestem z pana zupełnie zadowolona, mówiła Janinchen do Opowskiego, dając mu białą różę z gorsu i podając mu rękę do pocałowania, w chwili kiedy po fajwokloku u baronowej Lopetics wyciągała się leniwie w fotelu przymrużając oczy promienne zadowoleniem.

— Jakże jestem uradowany, że to suyszę — szepnął Opowski nachylając się lekko nad Janiną. — Jabym panią chciau widzieć tonącą w szczęściu... Czy mogę mieć nadzieję, że zasuużę na to, aby być tym, który będzie miau prawo zaspakajać wszystkie twoje pragnienia i zapeuniać ci życie swoją miuością.

Janinchen roześmiała się wesoło, i poprawiając włosy rozburzone przy rzuceniu się na fotel; z tryumfującym uśmiechem odrzekła:

— Mój hrabio. zostańmy na razie przyjaciółmi. Niechże się rozejrzę w tym świecie w który mnie wprowadzasz. Dowiedź mi, że nie znajdę w nim nikogo, ktoby mi się więcej podobał od ciebie, a wtedy — zobaczymy!

Opowski był tą odpowiedzią zupełnie zadowolniony, tem więcej, że miał jeszcze pewne wątpliwości co do tego, czy Müller jest naprawdę bardzo bogaty, jak i wogóle co do tego zkąd się Müller wziął i co on zacz. Wyjaśnienia jakich mu udzieliła księżna Starosłupska wydawały mu się nadzwyczaj niewystarczające. Było rzeczą powszechnie wiadomą, że księżna Starosłupska została nastręczona na żonę młodemu spadkobiercy Starosłupów i Czarnej skały przez najordynarniejszego żydka faktora, wówczas, kiedy stary książe Maciej, wplątany w sprawę naruszenia depozytów w jednym z Banków lwowskich, którego Radzie nadzorczej prezydował, nie mogąc dostać w przeciągu tygodnia krociowej pożyczki, nosił się już z myślą samobójstwa. Młody książe Henryk, któremu za niezbędny warunek uratowania honoru i życia ojcu oraz uchronienia nazwiska Kotwicz-Starosłupskich od hańby, postawiono małżeństwo z jakąś Bertą Bukszpan, polską żydówką wychowaną w Berlinie a posiadającą po zmarłym brazylijskim dziadku milion marek posagu, upewnił się tylko, czy nie pokrywa jakiegoś brudu w życiu Berty a dowiedziawszy się, że bierze ją wprost z przyzwoitego berlińskiego pensyonatu, ożenił się z nią i z jej miljonem bez wahania. Przyszło mu to o tyle łatwiej, że Berta odznaczała się wielką urodą, niepospolitą inteligencyą i bardzo wzorowem ułożeniem.

Zarówno mąż Berty, jak i jego najbliżsi wiedzieli o niej tylko tyle, że wraz z siostrami małą dziewczynką przywieziona została z Brazylji do Berlina i oddana do jednego z pierwszorzędnych pensyonatów. Dziadek jej był emigrantem, który na jakichś spekulacyach — mówiono że naftowych — zrobił wielki majątek; on też łożył na utrzymanie wnuczek, których rodzice bardzo wcześnie umarli. Kiedy Berta opowiadała, że dziadek kazał umyślnie z Polski sprowadzić do Berlina nauczycielkę, aby nie zapomniały, że są Polkami, — stary książe Maciej do łez był rozczulony tem, że sędziwy żyd na obczyźnie tak bardzo czuł się Polakiem. Dopiero jednak, okoliczność, że jedna z sióstr Berty wyszła za niemieckiego arystokratę, druga zaś za paryzkiego finansistę, poprawiła towarzyskie jej położenie; zaczęto wskutek tego coraz życzliwiej przyjmować młodą księżnę Henrykową, mimo, iż z początku bardzo krzywiono nosem na jej pochodzenie i na skandaliczny sposób, w jaki weszła do rodziny Starosłupskich. Bądź co bądź patrzano na nią ciągle przez ramię a tysiące złośliwych konceptów krążyło o owej bukszpanowej latorośli owiniętej o stary słup możnowładczego rodu.

Kiedy więc księżna Berta pewnego dnia opowiedziała Opowskiemu, że ma przyjaciółkę z lat dawnych, która świeżo przyjechała z Brazylii do swojego ojca; kiedy prosiła go, aby ułatwił jej stosunki towarzyskie w Wiedniu, gdzie na razie ta przyjaciółka z ojcem zamieszkała; kiedy dodała, że panna Janina, prócz tego że jest bardzo piękną, ma, jak się zdaje, znaczny posag, że jako dobra Polka — mimo, a może właśnie dlatego, że ojciec jest z pochodzenia Prusakiem — chce wyjść za Polaka o pięknie brzmiącem polskiem nazwisku, — Opowski chętnie podjął się wypełnić prośbę, bo takie czynności były jego fachem. Już jednak z trochę chwiejnych wyjaśnień księżnej Berty wywnioskował, i że panna Müller de Gwiazdek wraz z swoim ojcem jest istotą o pochodzeniu cokolwiek zagadkowem; wystarczyło zaś spojrzeć na Gottlieba Müllera, aby zrozumieć, że musi to być dorobkiewicz dość lichego gatunku. Jakkolwiek bowiem Janinchen musztrowała ogromnie swego przybranego papę i godzinami całemi wykładała mu teoryę i praktykę *savoir-vivre*, nie mogła wykorzenić w nim wszystkich przyzwyczajeń i manier właściciela gospody pod Złotą Armatą.

W rozmowie zarówno panna Janina jak i stary Müller unikali starannie wszelkiej wzmianki o swojej przeszłości i o swoim majątku; ta właśnie okoliczność żywo niepokoiła hrabiego. Zauważył już, że Müller jest skąpy, a kiedy się jeszcze dowiedział od służby, że między panem a panienką przychodzi często sprzeczek o pieniądze, wątpliwości jego wzrosły w trójnasób. Pisał nawet o nich do księżnej prosząc o ich rozproszenie, ale dostał odpowiedź krótką i wymijającą. Księżna Berta w istocie mało wiedziała. Finländerowa przybywała niegdyś co roku do Berlina z pieniędzmi dziadka, którego panny Bukszpan od czasu wyjazdu do Brazylii nigdy nie widziały i który stanowczo nie życzył sobie, aby wnuczki kiedykolwiek go odwiedzały; stosunek Finländerowej do Bukszpanów był serdeczny, ale Bukszpanówny żyły w kompletnej nieświadomości interesów, jakiemi się zajmował Simche i Finländer. Kiedy po przychwyceniu transportu w Udine, Finländerowa musiała przerwać podróże do Europy, doniosła pannom Bukszpan, że rozwiodła się z mężem i przybrała swoje panieńskie nazwisko Gwiazdek. W ostatnim liście donosiła ogólnikowo o tem, że znalazła swego ojca, który posiada znaczny majątek i który ją adoptował i że pragnie jako panna Janina Gwiazdek de Müller (bo i imię na życzenie ojca zmieniła) wejść w towarzystwo wykwintne, w któremby mogła znaleźć odpowiedniego dla siebie męża.

(C. d. n.) *Wacław Pancerz.*

Po rodzicach mająteczek mały,
Domicela robi sztuczne kwiatki,
(Takich kwiatów poszukaj ze świecą!)
Czasem skroi suknię dla sąsiadki,
Czasem z haftu kapnie jej co nieco.

Gdy Warszawę senny mrok zalewa,
„Domcia“ drepce spędzić rekreacyą:
Na zapiecku Rozalia i Ewa
Z apetyczną czekają kolacyą.
Do kabały skłonność mają wielką,
Po kolacyi stawiają pasyanse,
Lub przy lampie z zieloną umbrelką
Staroświeckie czytają romanse.

Dawno z marzeń rozstawszy się czarem,
Od trosk wolne i światowej pychy,
W starej Farze i w mieszkanku starem
Trzy boginie wiodą żywot cichy.
Czy świat srebrzy zima, jędza siwa,
Czy z pod śniegu pierwszy kwiat wyrasta,
Jednakowo dzień po dniu upływa
Starym pannom ze starego Miasta.

IV.

Gdy noc letnia blaski śle wspaniałe,
Gdy w dal srebrną pierzchną dzienne gwary,
Z ganku panien, na podwórko małe
Mknie śpiew czuły z tonami gitary.
Pośród murów odzywa się echem
Dawna piosnka, pełna melancholii,
Dwie staruszki słuchają z uśmiechem,
Uśmiech w łzy się zamienia powoli.

I wspomina Ewa i Rozalia
Pierwszych wzruszeń, pierwszych marzeń [latka,
Wszystko niszczy bystra czasu fala,
Nie oszczędza najmilszego kwiatka;
I wspomina Ewa i Rozalia
Groby, które wiosna zazielenia —
Wszystko niszczy bystra czasu fala
Tylko smętne zostawia wspomnienia.

„Domcia“ z kąta sięga w dal oczyma,
Wielki ból się w piersiach jej rozszlochał,
Ona jedna żadnych wspomnień nie ma,
Jej, jej tylko jednej nikt nie kochał.
W monotonnej, szarej przędzy życia
Nie błysnęła żadna nić jaśniejsza —
Najbiedniejsza ona od powicia,
Do mogiły ona najbiedniejsza...

Ksiądz kanonik Kropidło.

I.

Ksiądz Kanonik Kropidło,
Kapłan siwy i stary,
Do ósmego krzyżyka
Był proboszczem u Fary.

Już go rychło śmierć weźmie
Pod bezpieczne swe skrzydło —
Młodszy kapłan dziś zajął
Miejsce księdza Kropidło.

Ma kanonik na Piwnej
Dwie klasztorne komnatki,
W nich na oknach, po ścianach
Klatki, klatki i klatki.

„Bo to widzisz... starego
Ożywiają te ptaki...
Com chciał mówić! No spróbuj
Bernardyńskiej tabaki...“

II.

Światowego poloru
Niema proboszcz ni trocha —
Sam mieszczańskie jest dziecko,
Więc mieszczańską brać kocha.

Do siwego staruszka
Każdy ma przystęp łatwy —
On zna dolę — niedolę
Staromiejskiej swej dziatwy.

Na usługi bliźniego
I w dzień gotów i w nocy,
Nie odmówi porady,
Nie odmówi pomocy.

By uniknąć dziękowań,
Wetknie datek za progiem:
„Com chciał mówić?... daj pokój!...
Z Bogiem synu!... idź z Bogiem!...“

III.

Ledwie słońce ozłoci
Stare domy i wieże,
Ksiądz odmawia żarliwie
Swe poranne pacierze.

Potem karmi ptaszęta
I rośliny podlewa,
Klei, struże, buduje
Klatki z drutu i z drzewa.

A gdy starą Warszawę
Zmrok obejmie w swe sploty,
On przy lampie olejnej
Czyta Świętych żywoty.

Ich męczeństwo odczuwa,
Wielką wiarę ich dzieli
I z uśmiechem usypia
Na swej mniszej pościeli.

IV.

Był kanonik prefektem,
Kawał czasu niemały —
Nieraz figle starcowi
Psotne żaki płatały.

Wtedy uśmiech serdeczny
Twarz łagodną mu złocił:
„Com chciał mówić?.. A lekcya?...
Pójdź no tutaj... tyś psocił?“

Gdy się żegnał ksiądz prefekt
Ze swoimi chłopcami,
Oni ręce staruszka
Całowali ze łzami.

Dziś niejeden już poszedł
Na życiowe gdzieś szlaki...
„Szczęść im Boże! Szczęść Boże!
Dobre... Dobre chłopaki...“

V.

Choć mu zdrowie nie służy,
Chociaż kiepsko już chodzi,
Jest w kościele co rano
Ksiądz kanonik dobrodziej.

Na prymaryę w śnieżycę
Drepce chyłkiem przy murze
W wielkiej czapie futrzanej
W staroświeckiej lisiurze.

Spróbuj rzec mu: „do Fary?
W taką porę obrzydłą?“
Zaraz kropnie kazanie
Ksiądz kanonik Kropidło.

„To mam Boga zaniedbać
Dla nadgniłych swych kości?
Com chciał mówić... Ot, rada!...
Jesteś fircyk, mój mości!...

VI.

I śmierć wzięła staruszka
Pod bezpieczne swe skrzydło —
Przy wieczornej modlitwie
Usnął prefekt Kropidło.

Z jego twarzy zastygłej
Lśniła radość tak błoga,
Jakby w chwili ostatniej
Ujrzał niebo i Boga.

Trumnę księdza drewnianą
Niosły mieszczan ramiona,
Przytuliła ją ziemia
Tylu łzami zroszona.

Grób schronienie mu ciche
Za życiową dał pracę...
Niech śpi starzec spokojnie,
Requiescat im pace...

Jest to mała zaledwie część tego, co mieści się we wspomnianym cyklu, ale można już z niej mieć niejakie pojęcie, o wysokiej wartości całego utworu. Coś z delikatności obrazków pastelowych, coś z subtelnych dźwięków starego klawikordu lub szpinetu, wieje od tych pełnych wdzięku miniaturek, tak prostych z pozoru, a tak kunsztownych w gruncie rzeczy. Wiersz płynny i pełen melodyi, artystyczny układ całości a wreszcie pewna nie dająca się bliżej określić subtelność, stanowią zewnętrzne zalety tych niepospolitych, dziwnym smętkiem owianych poezyjek...

Ale nietylko forma, którą Or-Ot włada po mistrzowsku, jest przedmiotem uwagi i podziwu czytelnika. Misternie wycyzelowane strofki zawierają w sobie tyle serdecznego uczucia, tyle natchnienia i prawdziwej poezyi, że każdy poemacik z osobna daje swemu twórcy prawo do zajęcia jednego z najpoczestniejszych miejsc na współczesnym polskim Parnasie. To też przepyszne typy staromiejskie, uratowane przez poetę od zagłady i zapomnienia stały się dlań źródłem sławy i zasłużonego rozgłosu.

W ten sposób odwdzięczyło się Stare Miasto swojemu piewcy.

Włodzimierz Lewicki.

Eksmisya.

(Obrazek z ulicy.)

U wylotu ulicy Siennej pod „szarą kamienicą“ zrosłą z poetycznemi tradycyami Krakowa, w obliczu pomnika Mickiewicza, oglądali przed kilku dniami przechodnie iście dantejską scenę.

Odbyła się tak zwana eksmisya sądowa. Wyrzucono na bruk rzeczy ubogiego, cichego pracownika na chleb codzienny, rzeźbiarza, który od dwudziestu przeszło lat mieszkał w kamienicy bogatego pana, płacił czynsz zawsze rzetelnie i teraz dopiero z biedy, z braku roboty, zaległ z jakąś nieznaczną kwotą. Bogaty właściciel kamienicy dotkliwie odczuł brak kilkudziesięciu złotych w swym tysiącznym miesięcznym budżecie i jako obywatel konstytucyjnego państwa, skorzystał z przysługujących mu praw. Prawica sprawiedliwości wzniosła się w górę, bo właściciel kamienicy miał na zapłacenie adwokata, który wniósł podanie o eksmisyę, oraz na poniesienie wszystkich opłat sądowych. Wobec tego sprawiedliwość musiała stanąć w obronie „pokrzywdzonego“ przeciw niepłacącemu lokatorowi.

Tłum ludzi otaczał biedną chudobę rzeźbiarza — bardzo biedną, ponury obraz jednego ludzkiego życia, w którem pierwszym i ostatnim wyrazem jest walka o chleb codzienny, walka niespokojna, ciężka, bez zwycięstw, bez tryumfów, potężna jedynie swoją koniecznością. Bo nie był to rzeźbiarz-artysta. Ot, biedna istota zawieszona między niebem a ziemią; nie rzemieślnik i nie mistrz, coś pośredniego, coś co jest smutnem zawsze, bo nieokreślonem.

Z pomiędzy połamanych krzeseł, opajęczonych szaf, podartych firanek, potłuczonych naczyń, rozrzuconych sienników z których wyzierała słoma starta i stara, wychylały głowy poobtłukane rzeźby, gipsowe modele postaci świętych i apostołów, wizerunki Chrystusa z palmą i Ukrzyżowanego i biczowanego i rozwierającego ramiona dla wszystkich, którzy pracują i są obciążeni. Pył osłaniał te wszystkie figury i rzeźby, pył który świadczył o trosce i niedostatku pracownika, o braku roboty, o zniechęceniu i o tych wszystkich nędzach życia nawiedzających poddasza ubogich, dopóki sprawiedliwość w przymierzu z „prawem“ kamienicznika nie przyjdzie z eksmisyą aby obnażyć wobec tłumu ukrytą niedolę.

Nie zapomnę nigdy widoku tego Chrystusa na krzyżu, który oparty o ścianę „szarej kamienicy“ rozpinał ramiona nad stosem jakichś zżółkłych papierów, nut i rysunków. Wpatrywałem się w postać Zbawiciela, który umarł dla idei miłości bratniej. Zdawało mi się, że odejmie rękę od krzyża, aby surowem skinieniem przypomnieć bezlitosnym prawa boże i wolę bożą, chrześcijańską ofiarność i miłosierdzie....

Gromada ludzi burzyła się; słychać było przekleństwa i złorzeczenia.

— Tak jego Pan Bóg wyrzuci od siebie jak on biedaka na bruk wyrzucił, mówiła jakaś uboga staruszka ocierając łzy,

— W piekle tak będą nim poniewierać — jak on poniewiera wizerunkami Pana Jezusa i świętych.

— Nu, wun miał prawo — odezwał się filozof-obywatel.

— Prawo... takie prawo... oj przyjdzie boskie pokaranie za krzywdę...

Znalazł się ktoś co chciał tłomaczyć właściciela kamienicy ale musiał uchodzić; wzburzony tłum nie szczędząc mu przezwisk, posunął ku niemu z wyciągniętymi pięściami: zanosiło się na bójkę.

Mówiono, że to nie „pan“ sam, jeno administrator. — Pan podobno wyjechał na letni pobyt do Szwajcaryi; inni mówili, że na polowanie, którem lubi się bawić, pozostawiając administratorowi wyrzucanie na bruk ubogich lokatorów. Biedny rzeźbiarz, zdaje się, że dla niego było to wszystko jedno kto go wyrzucił wobec faktu, że go wyrzucono...

— Dobrze, że stary nie dożył tej chwili, mówił jakiś oberwaniec do drugiego. Syn po nim interes wziął, ale rady sobie nie dał... Biedak ma jeszcze głuchonienią siostrę, która cierpi na bicie serca. Jak wpadli i zaczęli rzeczy wyrzucać dostała biedactwo jakichś kurczów, kto wie czy nie pójdzie...

— Lepiej dla niej..

Między gromadą goniły się wyrostki; andrusy płatali różne figle gapiącym się dziewczętom. Kilka dam z inteligencyi przechodząc zrobiły uwagę, że to zapewne skład starych rzeczy, tandeta umieszczona w niewłaściwem miejscu. Wytwornie ubrany podlotek pytał się ze zdziwieniem eleganckiej mamy, jak mógł ten rzeźbiarz mieć takie brzydkie meble skoro był rzeźbiarzem a potem jak mógł dopuścić do tego, aby dla takiej głupiej sumy wyrzucono go z mieszkania.

— Widzisz dziecko, brzmiała odpowiedź mamy — takie są skutki lekkomyślności; każdy jest sprawcą swego losu...

— Ach mamusiu, szkoda tego Pana Jezusa na krzyżu.

— Nic szczególnego, ot, na przydrożną figurę...

Ciekawość zawiodła mnie do mieszkania zkąd wyrzucono rzeźbiarza. Puste ściany świeciły setkami dziur od gwoździ. Malarze przygotowywali się już do odnawiania lokalu w którym zamieszka inny „porządny“ lokator; ten będzie płacił. Wesołe gwizdanie rozlegało się po smutnej przestrzeni.

A przez okno otwarte, wpływała gorąca fala złotego światła słonecznego w posępną pustkę; na tej fali bujała radość z życia i nadzieja jutra, igrał pogodny uśmiech przyrody, niezmiennej i nieśmiertelnej. Cichy pająk utkał w kącie framugi swoją sieć: cieszył się ze słońca bo ono porywało ku oknu drobne muszki które wpadną w jego matnię. On je omota i wyssie i będzie potem z nową siłą i nową energią snuł swoją srebrzystą, misterną przędzę, na zgubę muchom!... Biedny pająk! Ani przeczuwa, że nowy „porządny“ lokator wyczyści mieszkanie i pająka zabije. Nie będzie to już rzeźbiarz u którego cisza i pył otulały pajęcze sieci, i sprzyjały rzemiosłu pająków-drapieżników.

Przedemną słońce i niebo, piękno i prawda, życie i istnienie, za mną pustka, stęchła przestrzeń pełna niezrozumiałych dla mnie wspomnień, lęków, tęsknot i westchnień. Jedno tylko było zrozumiałe: nieśmiertelny ludzki żal, cierpienie, troska dusz, które leczyć ma przecie ludzka sprawiedliwość!... . . . .

. . . .

Przechodząc z powrotem mimo wyrzuconych rzeczy rzeźbiarza — spojrzałem znowu na wizerunek Ukrzyżowanego. Stał jak pierwej cichy, nieruchomy. Zdawało mi się, że głowę miał jakoś bardziej zwieszoną. Tak mi się jednak tylko zdawało!...

„Quo vadis?“ na scenie.

Głośne arcydzieło Sienkiewicza, uzyskało w całym cywilizowanym świecie tak wielką popularność, że lada chwila należało oczekiwać przyobleczenia go w dramatyczną szatę, który to los spotyka zwykle, cieszące się aktualnym rozgłosem utwory powieściowe. Metamorfoza taka przyczynia się niewątpliwie do jak najszerszego spopularyzowania przerabianej powieści, sam jednak utwór pada prawie zawsze ofiarą gwałtownego wtłoczenia go w ramy scenicznego widowiska. To też inteligentna publiczność polska, niechętnie i z pewnym rodzajem obawy, przyjęła wiadomość, o zamierzonem przez aktora angielskiego Barret'a przerobieniu „Quo vadis?“ na scenę. Przeczuwano, że niezgrabna ręka wyrobnika literackiego uszkodzi subtelne rzeźby sienkiewiczowskich dyalogów, że mistrzowska plastyka postaci będzie musiała ustąpić miejsca szkicowym konturom, że, jednem słowem, sztuka „Quo vadis?“ będzie parodyą powieści ten sam noszącej tytuł.

I smutne przypuszczenia nie zawiodły. „Quo vadis?“ Barreta przedstawione w Londynie, ściągało wprawdzie żądne sensacyi tłumy, samem pociągającem brzmieniem tytułu i nazwiskiem Sienkiewicza, lecz poważna krytyka angielska wyraziła się o niefortunnej przeróbce nader ujemnie, ubolewając nad sprofanowaniem słynnego dzieła, które autorowi zjednało tak wielki i zasłużony rozgłos.

Po tej odprawie danej Barretowi przez inteligentną, nie kierującą się wzmiankami reporterskimi część prasy angielskiej, należało się spodziewać, iż teatry polskie oszczędzą współrodakom znakomitego powieściopisarza przykrości, jaką jest bezsprzecznie oglądanie ze sceny parodyi znakomitej jego powieści. Stało się jednak inaczej. Tasama niezdrowa gorączka spekulacyjno-reklamowa, która skłoniła kupców warszawskich do zaopatrywania spiżarni i piwnicy oblęgorskiej w sery, pieprz, jarzyny i musztardę, popchnęła też dyrekcyę teatrzyku, „Wodewil“ w Warszawie do wystawienia „Quo Vadis?“

Na pochwałę jednak Warszawy, musimy podnieść, iż huczny wrzask trąb reklamowych nie znalazł odbicia ani na szpaltach pism tamtejszych, ani między inteligentną publicznością. Nędzny melodramat Barreta, robiony pospiesznie i bez planu, w którym nieudolność literacka walczy o lepsze z bezceremonialnem „chlastaniem“ znakomitej powieści, został jednomyślnie potępiony, a fiasco, jakie

dostało mu się w udziale, będzie dowodem, iż nic nie jest w stanie zatrzeć wewnętrznej pustki marnych przeróbek przemycanych pod firmą głośnego nazwiska Sienkiewicza.

Kiedy już mowa o „Quo vadis“, zwracamy uwagę naszych Czytelników na rycinę zamieszczoną w dzisiejszym numerze, przedstawiającą męczennicę chrześciańską wydaną na pastwę drapieżnych zwierząt. Słynny ten obraz znakomitego malarza niemieckiego Gabryela Maxa może służyć poniekąd za ilustracyę słynnej sceny w Sienkiewiczowskiem arcydziele, opisującej męczeństwo Lygii, sceny, która dla wyrazistości obrazowania i niesłychanego napięcia sytuacyi, zostawia w duszy czytelnika potężne i głębokie wrażenie.

Na pewną zgubę.

Troje ich było. Po latach pięciu, strawionych w smętku i bezbrzeżnej tęsknocie za ziemią rodzinną, postanowili opuścić potajemnie chatynkę i wracać, da Bóg, ku swoim, albowiem zabrakło im już sił... Z zielonych swych szumiących stepów przynieśli tu, w mroźną krainę, niegasnący ogień nadziei. Zgrubiały im dłonie od mozołów; w skwarne południa, w zimne noce pot lał się z czół, z ócz krwawe łzy płynęły zdobiąc ich lica w głębokie bruzdy, lecz mężnie trwali w pracy swej, bo myśl krzepiła ich, że strzegą ogniska wiary, myśli, cnót, przyszłości. Lecz kiedy Bóg wysłuchać raczył prostych ich modłów i zesłał im dziecinę, pragnienie życia i szczęścia wezbrało im w sercach i pchnęło ich w drogę powrotną — ku ziemi ojczystej.

I opuścili swoje śnieżne sioło, nie znając ani drogi, ani najbliższego celu. Przed



CHRZEŚCIANKA

ich oczyma, jak daleko wzrokiem sięgnąć, roztaczała się nieskończenie biała, martwa, pusta równina, nakryta niebem lodowem. Był mróz. Ziemia stężała w niezmiernej cichości, a śniegu płatki skrzypiały pod ich nogami złowrogo, kruczo. A oni szli z uśmiechem, oczy błyszczały im energią i fosforycznym blaskiem nadziei. Z rozmachem brnęli po kolana w skrzypiących zaspach bezdroża i chociaż para z ust osiadała w kształcie blaszek śnieżnych na zasłonach skórzanych i na odzieży, choć ręce twardły od szczypiącego zimna, nogi poczęły tracić czucie w długich futrzanych butach, oni szli bez przerwy aż do wieczora. O półzmroku wreszcie oczy ich spostrzegły coś niby szałas, niby jakąś zagródkę, uplecioną z pręcia wikliny. Tam spoczęli.

— Tutaj nasz pierwszy etap powrotny— rzekł mąż.

— A może ostatni? smutno szepnęła kobieta. Usiedli. Ostatnią noc spędzili jeszcze w swojej chatce, gdzie na kominku strzelało płonące łuczywo i wesołymi blaski opromieniało kołyskę ich jedynaka — a teraz? Pusto wokoło, smutno i straszno. Zdaleka dolatuje tylko wycie zgłodniałego wilka i pierwszy szum mroźnego wiatru, co hulać będzie po stepie miotając w okół zadymkę śnieżną. Niebo pokryło się ponurym, brudnym całunem, zwiastującym zawieję.

Maksym wyłamał kilka palików z zagródki, chroniącej ich od wiatru i rozpalił ogień, aby odstraszyć dzikie zwierzęta i zgotować nieco wody ze śniegiem, poczem posiliwszy się pospiesznie i wysuszywszy wilgotne części odzieży, posnęli wszyscy.

Niedługim był ich sen. Przy wzmagającym się wichrze zaczął powoli pruszyć i pruszyć śnieg, najpierw drobnymi płatkami, potem zmieniając się powoli w gęstą zawieruchę. Pierwszy zbudził się Maksym. Groza poczęła się szerzyć po całym stepie. Orgią rozpasaną szalała śnieżyca, sypiąc pod szałas stosy białych płatków. Jeszcze chwila, a będą zasypani. Matka spała z dziecięciem na łonie.

— Wstawajmy, śnieżyca! Jeśli nie znajdziemy jakiej jurty, jesteśmy zgubieni!

Wstali i poszli — na pewną zgubę. Wicher szalał, parząc im twarze, śnieżyste zaspy męczyły im nogi, na dziesięć kroków przez zaszronione powieki widzieli przed sobą tylko szalone miganie krystalicznych płatków i ponurą szarość nad głowami. Nogi uginały się pod nimi, palce drętwiały z zimna i wilgoci. Po godzinie marszu obsunęła się na ziemię matka, aby odpocząć, zdrzemnąć się, zagrzać, skuliwszy nogi, chuchaniem ożywić sztywniejące dziecię, a potem... iść dalej.

Usiedli zatem. Gorączkowymi ruchy kołysała matka jedynaka, szepcąc dziwnym jakimś, przedśmiertnym głosem; „Aniele stróżu mój biały, pod skrzydły Twojej opieki, niech będzie synek mój mały — na wieki. Kiedy zostanie sierotą, Ty w każdej życia potrzebie, gwiazdeczkę zaświeć mu złotą — na niebie. Niech pośród pokus bezpieczny, zaświeci cnoty swojemi jak jasny promień słoneczny — tej ziemi. Luli, synku, luli...“



Tutaj nasz pierwszy etap powrotny...

Przeszła godzina. Zerwał się ze snu Maksym i spojrzawszy na żonę drgnął straszliwie. Zesztywniała, sina, bez życia, leżała, na wpół przypruszona śniegiem. Dziecię, owinięte troskliwie w futrzane skóry, dyszało jeszcze gorączkowo. Bolesny skurcz osiadł na twarzy biedaka i smętna gorycz rozsiadła się w duszy jego. Jak posąg boleści stał przez chwilę, poczem zgrabiałymi od zimna palcami rozłupał kij swój wędrówny, ze szczap złożył wschodni krzyż i ucałowawszy marznące już zwłoki, włożył to godło zbawienia i męczeństwa w skostniałe dłonie zmarłej, wreszcie ze łzą w oku wziął dziecię i poszedł.

Zmęczony, zbolały, patrzy błędnie przed siebie, czy nieba nie ulitują się nad niewiniątkiem i nie zeszlą jakowego ratunku. A huragan przygrywa mu na smętną nutę śmierci i bezwzględnego zatracenia. Idzie a idzie... jak długo jeszcze borykać się będzie z nieunikniona zagubą i urągać krukom, co ponurym śpiewem towarzyszą mu bez ustanku? A on idzie, bo głos wewnętrzny mówi mu, że do końca walczyć należy, albowiem każdy ból i pokonane zwątpienie za zwycięstwo poczytanem mu będzie, albowiem do końca wytrwać należy — mówi Pan i marnie sczeźnie ten, co w dziele dobrem w połowie ustaje i godło męczeństwa, nachylające się doń, rozpaczną odpycha ręką.

M.

Młodzież skarbem narodu.

(Dokończenie.)

. . . .

„Dziś nam nie wolno rwać się na oślep [w płomienie,
„By dźwięk imienia ludzkiej przekazać pa- [mięci —
„Dziś tylko wolno naprzód posuwać się [duchem!..
„I przysposabiać sobie siły zasób świeży,
„Zanim Bóg nam obronę przyszłości po- [wierzy!!.

. . . .

Czy gawęda skończona?

Nie!

Myśl rzucona po to, aby rozsnuć z niej tysiące myśli, aby wywołać mnóstwo rozważań, aby uwagę zwracać na to, iż my mając skarby wielkie — nie umiemy ich do skarbnicy ojczystej przynosić i na istotne wzbogacenie narodu oddawać..

Nie po to rozpoczęliśmy na ten temat gawędę, aby tylko skrytykować system dzisiejszego wychowania, aby młodzieży naszej ubliżyć i potępić ją. Szło nam o to, aby dojść do wniosków, iż tak jak jest, jest źle i bezwarunkowo musi być lepiej.

Młodzieży nie mamy zamiaru uchybiać. Owszem — zawsze ją szanować i cenić powinniśmy, bo ona jest naszą własną młodzieżą, naszym skarbem i przyszłością, bo wiemy, że jeśli błądzi — upada — pełza, to nie z swej własnej winy.

Czyż ona winna, iż ją uczyniono taką jaką jest?.. Wedle miary ciasnej i wązkiej stworzono jej serce, piersi jej wykuto we dle wzoru najlichszego — skrzydła dano zmarniałe i jak papuzie tylko dla parady — czyż mogła orłem wypłynąć?..

Z tej i owej, dziesiątej i setnej strony słyszymy narzekania na młodzież tegoczesną. Ci i owi ruszają ramionami, kiwają głowami, z zwątpieniem machają rękami, a mówią zawsze — Okropne czasy!.. wszystko się zmienia!.. wszystko stracone! Otóż właśnie że nie. Stracone lata życia takiego, jakie teraz się toczy; ale odzyskać można wiele, tylko niech się do pracy zabiorą najpierw starsi — ojcowie — matki — wychowawcy!..

Trzeba wychowywać dzieci, aby mieć młodzież jako bohaterów zastępy! Trzeba wyrabiać ducha, aby mieć ludzi z cnót i czynów, a nie z ubioru — posady i — wad rozlicznych.

Trzeba rzeźbić najwznioślejsze arcydzieła nie w marmurze i posągach, ale w wychowywaniu młodzieży, a wtedy — zmieni się wiele.

Jak to robić — nie da się powiedzieć w kilku słowach. Nauka wychowywania to wiedza trudna do zdobycia i najlepszy dowód jak jest trudna, w tem, iż mamy i mieliśmy bardzo mało znakomitych pedagogów i wychowawców.

U nas każdy ojciec i matka, mają to przekonanie, iż n a j l e p i e j swoje dzieci wychowują, gdy tymczasem czynią to nieraz n a j g o r z e j.

Każda rzecz źle wykonywana — musi robić wrażenie niekorzystne i nie daje wiele zadowolnienia. Tak i źle kierowane wychowanie dzieci — późniejszej młodzieży — daje smutne plony i rozsiewa zwątpienie wokoło. Widzimy, poznajemy, że jakieś światło słoneczne gaśnie nad nami, że jakieś rozdroża i manowce unoszą tłumy, gdy proste gościńce stoją pustkowiem; wołamy z niepokojem: — co będzie? a nie poczynamy szukać lekarstwa w pracy nad wszystko ważnej i niezawodnej. Bawimy się tysiącznemi zabawkami, rozterkami, pracami nad zdobyciem realnych rzeczy, a nie uznajemy o b o w i ą z k u pracy wychowawczej za rzecz gorącej Miłości i poświęcenia dla Niej!..

Trzeba tysiąc strun, aby wydzwonić pieśni wielkiego czynu — dobrego wychowania, trzeba cnót nieskalanych p r z y k ł a d u, aby odrodzić naród moralnie... a my — narzekając czekamy.... Na co? Aż przyjdzie jakiś czas, duch, prąd, idea i zrobi to, co my mamy wykuć i wyrzeźbić...

„Kto c z e k a — ten na s y n a swego ra- [mię
„Spycha ten krzyż, pod którym s a m s i ę [łamie
„I żądać śmie, by przyszłe pokolenia
„Znów stary bój podjęły i cierpienia..
„O! dosyć już o g l ą d a ć się n a s y n y!
„Im wieńce z róż — nam ciernie i wa- [wrzyny,
„Nam bój i śmierć w pielgrzymstwie peł- [nem trwogi.
„Im błogi świt i jasne — ciche drogi!....

10/7 1900 r. *Bogusław.*



Zmęczony, zbolały, patrzy błędnie przed siebie...

List z Berlina.

Berlin, 10 sierpnia.

Berlin, to Babel niemiecki, olbrzymi kocioł, w którym junkrzy pruscy ugotowali jedność niemiecką. Mimo jedności, Niemcy także — to Babel, bo nadzwyczajna ta mięszanina „narzeczy“ niemieckich, — szczególnie obecnie przy nadzwyczajnym ruchu podróżników letnich ze wszech stron imperyum germańskiego — narzeczy, podrzeczy i idyotyzmów z których jakiś Ramult niemiecki mógłby ukuć z pewnością co najmniej półtuzina odrębnych i samoistnych języków. Żart z Ramultem na stronę, ale narzecze niemieckie *platt-* albo *niederdeutsch* jest tego rodzaju, że znający dobrze język niemiecki nie zrozumie ani słowa tych co tem narzeczem rozmawiają. W drodze z nad Bałtyku do Berlina zwierzyłem się z tem pewnemu jadącemu ze mną razem Niemcowi.

— Nie dziwię się wcale — odparł — bo *plattdeutsch* jest tak rozmaicie mówiony, że jest to nie jedno, ale dziesięć, dwadzieścia, trzydzieści a nawet może i więcej narzeczy odmiennych od siebie. Na Pomorzu jest kilka narzeczy *platt.* W hannowerskim zaś „Wendlandzie“ i w starej Marchii każda wieś ma swoje podrzecza, przepełnione zepsutemi formami i brzmieniami a nawet i sławizmami. Sąsiad sąsiada rozumie tylko wtedy, jeśli dobrze wytęży uwagę. Cóż robić? Mimoto jedność niemiecka jest silna, bo spójnią różnorodności mozajkowej jest jeden język piśmienny.

— Mocarstwom w Chinach — dodał — trudniej się porozumiewać w tylu zupełnie różnych językach.

Chiny! Całe Niemcy pełne Chin, o niczem innem nikt nie mówi jak o Chinach; każdy kto czytał chińską mowę cesarza Wilhelma w Bremerhaven drży z przerażenia; prawdziwa cywilizacya i kultura przy samym schyłku XIX wieku ze wstydu zasłania oczy; ale równocześnie bardowie narodu niemieckiego w szczytnej a natchnionej pieśni parafrazują pamiętne słowa swego imperatora:

„Pardon wird nicht gegeben — Gefang'ne nicht gemacht“! oto dziś niemieckie hasło narodowe.

Siedząc w „Cafe Bauer“ z widokiem na ulicę „Unter den Linden“, biorę do ręki przypadkiem dziennik „Deutsche Wacht“. Na czele zamiast artykułu wstępnego pieśń: *„Ein deutsches Lied“* tłustemi głoskami. Oto początek szczytny

„Wie einst vor tausend Jahren
Erzitterte manch' Reich
Vor Etzels Kriegesschaaren,
Der Gottesgeissel gleich....
So sollen sie jetzt beben,
Die Deutschlands Kraft verlacht:
„Pardon wird nicht gegeben,
Gefang'ne nicht gemacht“!

(„Jak przed lat tysiącem drżało nie jedno państwo przed Attyli wojowników gromadami, równemi biczowi boskiemu... tak niechaj obecnie zadrżą ci, którzy wyśmiali Niemiec potęgę: „Przebaczenia się nie daje — jeńców się nie robi“!)

Tylko bez litości morduje się przeciwnika, wycina się go w pień, tak jak przed lat tysiącem mordowano i rznięto na tej ziemi, dziś niemieckiej, spokojnych i pracowitych Słowian lechickich.

Takim odgłosem odbiła się w mem sercu przeczytana zwrotka niemieckiej pieśni narodowej. Ogarnął mnie niewysłowiony smutek, tem większy, iż byłem pod świeżem wrażeniem podróży po olbrzymiem cmentarzysku słowiańskiem w dzisiejszych Niemczech przejechawszy je wszerz zacząwszy od Śląska, Wielkopolski, Prus zachodnich a skończywszy na Pomorzu, wyspach Usedomii i Rugii, Meklemburgii, Hanowerze i Marchiach brandenburskich.

Gdym wyszedł z kawiarni Bauera, ruch, gwar, rwetes na ulicy przygłuszył i mój smutek i wszelką myśl poważniejszą. Ruch w mieście nadzwyczajny, prawie dorównywający paryzkiemu. Rozdziela on się na całe miasto. Najgwarniej i najtłumniej „unter den Linden“, na „Friedrichsstrasse“ szczególnie koło dworca kolejowego, na placu Aleksandra, ulicy Lipskiej, Królewskiej i t. p. i t. p. Pod tym względem przewyższa Berlin bardzo znacznie Wiedeń. Widać tu także olbrzymi rozwój przemysłu i handlu i wszędzie w Niemczech lepszy dobrobyt aniżeli w Austryi, do czego niezawodnie przyczynia się niepospolicie taniość życia, mianowicie względnych jego potrzeb: mieszkań, odzienia i pożywienia. Przyznać trzeba, że w tem zasługa racyonalnej rządowej polityki handlowej i skarbowej. Po miastach niemieckich nie zwalają na domy mieszkalne względnie na mieszkańców ich: 46° podatku od płaconego rocznie czynszu, ani też nie nakładają się tak olbrzymie podatki bezpośrednie na przedmioty wszelkiej spożywczości. I rolnictwo lżej oddycha w Niemczech pod ciężarem podatkowym aniżeli u nas, dlatego i ono daleko lepiej się opłaca.

Chodzę sobie po mieście bez celu, by się bliżej przyjrzeć ruchowi i fizyonomji miasta. Zbaczam z „pod lip“ na Friedrichsstrasse. Wspaniała ulica, równa a szeroka, zabudowana wspaniałemi kamienicami. Sklep przy sklepie. Eleganckie lokale publiczne. Ruch nadzwyczajny. Reklama wszędzie jeszcze większa. Brak chyba tylko jeszcze nawoływaczów jak przed budami w wiedeńskim Praterze ludowym. Restauracyj, hotelów, piwiarń, kawiarń, cukierni pełno. Można się posilić na każdym kroku, nie drogo, lecz źle, przynajmniej w porównaniu do naszej lub wiedeńskiej kuchni. Specyalnością berlińską są *„Steh-Bierhalle“*, małe piwiarnie, w których się stoi, lecz także i siedzi, jeśli miejsce do siedzenia wolne, co jednak rzadko się zdarza, gdyż wszystkie o każdej porze dnia roją się publicznością obojga płci krzepiącej się piwem i zjadającej *„butterbrödchen“*. Bez *„butterbrödchen“* ponoś Niemcy żyć by nie mogli. Są one najbardziej rozpowszechnionem w całych Niemczech pożywieniem ludowem podobnie, jak pocztowe karty z widokami najgłówniejszym środkiem komunikacyi domowej. Kartami temi zarzucone całe Niemcy. Niema jednej wsi bez własnych kart. Każdy interes sprzedaje je, wszędzie dostać je można, nawet u rzeźników i fryzyerów. Z tego wytworzył się olbrzymi przemysł. Podobnie z *„butterbrödchen“* i *„stehbierhalle“*. W jednym Berlinie jeden taki Aschinger ma w rozmaitych częściach miasta około pięćdziesiąt takich piwiarń, w których się stoi. Z nim współzawodniczy mnóstwo innych.

Uderzają mnie tubalne odgłosy fonografu. Jakaś arya, z jakiejś opery jakoby wytrąbiona. Zbliżam się. Na przodzie lokalu wywieszona duża tablica oznajmiająca, że wstęp do salonu fonograficznego kosztuje tylko 10 fenigów. Potem program tj. wszystko, co tu za tanie pieniądze można słyszeć. Czytam:

1. „Mowa cesarza miana w Bremerhafen“.
2. „Mowa cesarza z dnia 3 i 4 maja“.
3. „Włoski marsz koronacyjny“.
4. „Don Juan“.
5. „Było to raz. — Indra“.
6. „Wenus na ziemi“.
7. „Humorystyczny kodeks“.
8. „Wesoła jazda koleją“.
9. „Straż zamkowa“.
10. „Walc z „Geiszy“.
11. „Śmieszne kuplety“.

Wszystko do wyboru za dziesięć, tylko dziesięć fenigów „od sztuki“. Użyłem sobie przyjemności pozwoliwszy sobie aż dwa „kawałki“ za razem dwadzieścia fenigów, mianowicie: Nr. 1 i 11. Zatętniało mi znowu w uszach hasło narodowe niemieckie: *„Pardon wird nicht gegeben, Gefang'ne nicht gemacht“!..*

Wieczorem znalazłem się na polskiej uroczystości śpiewackiej w „Armin-Säle“ przy „Kommandantenstrasse“, gdzie czas bardzo mile spędziłem. Było koncert polskiego tutejszego towarzystwa śpiewackiego „Harmonia“. Piękny ogród i poboczne sale były przepełnione. Aż serce rosło widząc tak liczny i piękny zastęp Polaków i Polek. Było około 500 osób. Gdy zabrzmiały z estrady pieśni narodowe zapał uczucia rozpromieniał twarze. Pieśń swojska szła wprost do serc, zachwycała je, napełniając wzniosłemi ideałami. Ciężko Polakom w Niemczech, ale nadziei nie tracą. Pomiędzy dzielną polską drużyną był także p. Wróbel wydawca i redaktor tutejszej „Gazety berlińskiej“, która dobrze stoi na własnych nogach. Był także i p. Berkan, czcigodny prezes sam nie wiem ilu już polskich tutejszych stowarzyszeń. Polaków liczą w Berlinie 80.000. Szczęść Boże ludziom dobrej woli w ich pracy. A w berlińskich polskich stowarzyszeniach jest ruch i myśl szczytna obrony przed niemiecką przemocą. *G. Smólski.*

Gustaw Guesviller.

Uśmiech Idonii.

NOWELA.

(Dokończenie.)

Ale, gdy minęło pierwsze uniesienie, stracił pewność siebie wracając do swej wioski i wielkie ogarnęło go zniechęcenie. Jakże odkryć ów talizman?

Gdzie go iść szukać?

Baron zachęcał wielkich panów, jego rywali, do osiodłania bachmatów i hippogryfów. Ale on był za ubogi do przedsięwzięcia tak dalekiej podróży, a mianowicie w tak krótkim przeciągu czasu; bo nie posiadał ani bachmata ani hippogryfa, a całą jego stajnię stanowił jeden jedyny osioł, stary, chudy i leniwy, nazwany Kijakiem, wskutek częstych kijów, jakiemi okładano grzbiet jego.

Niemniej jednak postanowił udać się w drogę w tem przekonaniu, że kto nic nie ryzykuje, ten też nic nie ma i że ostatecznie sporą liczbą uderzeń doprowadzi Kijaka aż do sąsiedniego powiatu, gdzie właśnie wtenczas odbywał się jarmark. Z obawy pośmiewiska nie uwiadomił nikogo o swoim zamiarze i pewnej nocy, napełniwszy trzos swój groszami, poszedł do stajni obudzić Kijaka, który przez długi czas udawał głuchego, pomimo dwojga uszu dobrze zbudowanych i jakby stworzonych dla usłyszenia skierowanych do niego przemówień.

Amyl przechodził przez bory bez końca, następnie przez płaszczyzny i bardzo przykre spędzał noce, bo nadeszła już zima i śnieżyce. Dzięki odbieranym razom, Kijak szedł coraz dalej, ale codziennie Amyl jeden kij strzaskał na jego grzbiecie; aż wreszcie wyszedłszy na płaszczyzny, zakłopotał się o dalszą swą podróż, bo już tylko jeden kij mu pozostał, a w około niego żadnego nie było drzewa.

Wreszcie, wszedłszy na pagórek, ujrzał wielką ilość razem zgromadzonych domów; nie wątpił, że doszedł do wielkiego miasta. To dodało mu odwagi.

— Hop! hop! dalejże Kijaku! — zawołał.

I silnem uderzeniem chciał swego osła do żywszego pobudzić ruchu. Ale — o zgrozo! — kij strzaskał się na kawałki; Kijak, zobaczywszy co się stało, uparł się nie na żarty i zamiast iść naprzód, cofnął się, poruszając przy tem z przekorą uszami. Amyl bił go nogami i rękami: nic nie pomogło. Musiał wreszcie zejść z osła, wziąć go za uzdę i ciągnąć go za sobą.

W tej śmiesznej postawie posuwał się z wolna, bo osieł opierając się co mu sił starczyło, zaledwie co dwie minuty o jeden krok się posunął.

Nagle Amyl krzyknął z radości, ujrzawszy przed sobą kobietę, niosącą kij czarny, pokrzywiony i sękaty. Zaczepił ją i pozdrowił — choć wcale nie była piękną — i poprosił ją grzecznie o sprzedanie mu swego kija.

Kobieta przypatrywała mu się ciekawie.

— A co chcesz zrobić z moim kijem? — zapytała.

— Wybić nim Kijaka.

— Nie odstąpię mego kija do takiej roboty.

Wtedy Amyl zaczął błagać, płakać i chcąc ująć kobietę, opowiedział jej swe przejścia w tem przekonaniu, że i ona jest czułą na niedolę bliźnich, jak wszystkie kobiety.

— Widzę, — rzekła kobieta po wysłuchaniu jego opowiadania, — że masz dobre serce, ponieważ umie odczuć prawdziwą miłość. Dam ci mój kij, ale nie idź dalej i wracaj do swojej wioski.

— Oh! — przerwał Amyl — nie potrzebny mi twój kij, jeśli mam wracać do stajni. Kijak sam do niej pójdzie nietylko kłusem, ale nawet galopem, jeśli ją sobie przypomina.

— Powtarzam ci, że ten kij nie jest do bicia. On ci odda rękę twojej wybranej.

— Co! ten brzydki kij czarny, pokrzywiony i sękaty?

— Jest talizmanem, który wywoła uśmiech na usta Idonii.

— Wyśmiewasz się chyba ze mnie — chciał odpowiedzieć Amyl.

Ale zamilkł, przejęty drżeniem i zalękniony.

Kobieta znikła w wonnym obłoku, a Amyl usłyszał łagodnym głosem wymówione wyrazy:

— Weź ten kij, utknij go w wiadrze pełnem gliny i zanieś go Jego Wielmożności, pana Thiébault, który powinien go ustawić w miejscu jasnem, dokąd nikt nie będzie miał przystępu aż do dnia oznaczonego na współubieganie. Gdy twoi przeciwnicy się zbiorą, pozwól im porozkładać zebrane przez nich cuda: wtedy dopiero pójdziesz po swój kij i ofiarujesz go swojej Idonii. Idź i raduj się zapewnieniem danem Ci przezemnie, że przy Tobie będzie zwycięstwo.

* * *

Amyl zawierzył tym słowom i jednym tchem powrócił do swej wioski.

Przybywszy do niej, utkwił swój kij w wiadrze gliny i udał się do Aksamitnego Pałacu.

— Otóż co przynoszę dla waszej pięknej Idonii — odezwał się do barona.

— Co? ten szkaradny kij czarny, pokrzywiony i pełen sęków? Zasługiwałbyś, zuchwalcze, abym go strzaskał na twoim grzbiecie!

— Strzeż się pan tego! Kij ten nie jest do bicia, ale dla wywołania uśmiechu i sprawienia radości waszej pięknej Idonii — zapewnił śmiało Amyl. — Mam prawo współubiegania się wraz z innymi i wszelki sąd powinniście powstrzymać aż do dnia oznaczonego.

Baron w swem poczuciu sprawiedliwości uznał słuszność tego twierdzenia.

Zaprowadził Amyla do pokoju odosobnionego na szczycie wieży, gdzie kij wraz z wiadrem ustawiono przy oknie. Następnie Amyl sam zamknął drzwi od pokoju i klucze zachował przy sobie.

Dni płynęły jeden za drugim.

Na początku kwietnia ujrzano ciężkie wozy, ciągnione przez cztery, sześć, ośm i dziesięć koni.

Następnie ukazali się starający się o Idonię panowie; wyjechało ich ośmnastu, a powracało tylko trzech, ponieważ innych albo odbiegła odwaga, albo też w swych podróżach stracili życie lub wolność.

Trębacze znowu zadęli w rogi dla oznajmienia, że nadszedł dzień stanowczy współubiegania się o rękę Idonii i dla zgromadzenia ludu. W sali strażniczej ustawiono tron, na którym zasiadła Idonia, ciągle jeszcze w biel przybrana.

Panowie rozłożyli swoje bogactwa.

Pierwszy otworzył skrzynie, których zawartość wysypał następnie na kobierce: zabłysła lśniącemi promieniami kaskada pereł i drogich kamieni; brylanty z Golkondy, wschodnie agaty, peruwiańskie szmaragdy, ametysty z Indyi i Syberyi, czerwonobarwne karbunkuły, chińskie najdroższe kamienie, szafiry z Ceylonu, turkusy perskie, wężowe oczy, kocie oczy, lapis-lazuli, granity i rubiny, czeskie topazy.

Idonia przyglądała się z uwagą, ale bez uśmiechu; następnie, wziąwszy zwierciadło, ujrzała w niem swoje perłowe zęby, lazurowe oczy i pogardziła drogimi kamieniami.

Drugi rozłożył wspaniałe tkaniny; materye złotolite, szkarłaty, aksamity, jedwabie, atłasy, plusze, cuda Ispahanu, Tyru, Aleksandryi, muśliny Sirinagorskie; a potem kosztowne futra, królewskie gronostaje, suknie ze skóry lamparciej, tureckie ferezye, polskie bisiury.

Idonia zauważyła, że piękniejszym jest biały puszek jej lic świeżych i złoty jedwab jej włosów; pogardziła kosztownemi tkaninami.

Ostatni przywiózł najrozmaitsze klejnoty. Idonia przystała na przymierzenie złotej bransolety, ale odrzuciła ją natychmiast zauważywszy, że jej piękne ramię traciło na wdzięku w tej opasującej je okowie.

Przyglądający się tym skarbom Amyl myślał po sto razy, że umrze ze zmartwienia i zazdrości.

Niestety! cóż znaczył jego kij ubogi wobec tych cudów niewysłowionych?

Nabrał jednak odwagi na widok obojętności Idonii.

— Teraz na mnie kolej! — zawołał — to na mnie teraz kolej, nieprawdaż?

Baron Thiébault zmartwiony niewypowiedzianie, nie miał nawet odwagi zdobyć się na odpowiedź. Amyl przedarł się przez tłum wśród powszechnego zdumienia i poszedł po swój kij.

Czekano w milczeniu grobowem.

Wreszcie drzwi się otworzyły i ukazał się Amyl, niosący swój kij utkwiony w wiadrze napełnionem ziemią. Ale jakaż zmiana zaszła z tym kijem! Wyrosły na nim jasno-zielone listeczki, rozwinęły się gałązki, a u samego szczytu drżała wielka biała róża.

Idonia podniosła się a patrząc na kwiat, zbladła; potem żywo, miłośnie, pochyliła się nad nim, pociągnięta świeżą jego wonią: każdy z jego listeczków napełniał powietrze wonią odurzającą, a Idonia rozkoszowała się tym przedmiotem tak miłym, tak uroczym, tak nieopisanie pięknym, a który dotąd był jej zupełnie nieznanym.

Pochyliła się jeszcze więcej, a usta jej rozchyliły się.

— Jakież to piękne! — wyszeptała głosem drżącym z wzruszenia.

— Niechaj Bóg będzie błogosławiony! — zawołał baron radością przejęty.

Idonia podniosła głowę, uśmiechając się do wszystkich w około, poczem lekko zerwała różę i przypięła ją sobie do łona.

Następnie zbliżyła się do Amyla i wzięła go za rękę, mówiąc:

— Chodźże, mój ukochany, — i przyjrzyj mi się w tej chwili, w której zupełnie jestem piękną!

* * *

Taką jest historya Idonii, która pogardziwszy brylantami i drogiemi kamieniami, wspaniałemi tkaninami i klejnotami kosztownemi, oddała się za jedną białą różę.

Zdarzenie to może się wydawać nieprawdopodobnem, ale działo się to w czasach, w których królowa Berta przędła na kołowrotku.

Kronika wypadków świata.

15 sierpnia.

Wojska europejskie wkraczają do Pekinu i oswobodzają posłów; wódz Li-Ping-Heng ginie w walce.

Rząd francuski zgadza się na zamianowanie Walderseego wodzem armji międzynarowej, ale tylko w granicach prowincyi Peczili i na wypadek, jeżeli armja francuska będzie z armją międzynarodową współdziałać.

16 sierpnia.

Węgry obchodzą 900 letnią rocznicę wprowadzenia katolicyzmu.

17 sierpnia.

Na pałacu cesarskim w Pekinie powiewają już flagi europejskie. Cesarzowa wdowa i cesarz uciekli do dawnej stolicy Chin, Siangfu, oddalonej o 1000 klm. od Pekinu.

Mordercy króla Humberta Bresciemu wręczono akt oskarżenia.

W Nowym Sączu aresztowano anarchistę Brylickiego. Policya szuka czterech anarchistów włoskich, którzy mieli się udać do Galicyi.

18 sierpnia.

Cesarz Wilhelm wypowiada do Walderseego mowę, w której manifestuje porozumienie Niemiec z cesarzem rosyjskim.

Cesarz Franciszek Józef obchodzi siedemdziesiątą rocznicę urodzin.

19 sierpnia

Rząd pruski zarządza, że nawet głuchoniemi w Poznańskiem mają być odtąd tylko po niemiecku kształceni.

Minister Delcassé wypowiada na bankiecie w Foix znaczącą mowę o położeniu, w której przestrzega przed niebezpieczeństwami zawikłań międzynarodowych.

Na wystawie paryskiej prezydent Loubet dokonał rozdania nagród.

Rozchodzą się fałszywe niestety pogłoski, że jenerał boerski Devet wziął 4000 Anglików do niewoli.

Kelner Jacquemont rzuca po pijanemu do powozu prezydenta Loubeta w Paryżu kopertę z fotografią i jest wzięty za anarchistę.

20 sierpnia.

Hrabia Waldersee odjeżdża do Chin przez Rzym i Neapol.

Na wystawie paryskiej zawalił się pomost. Dwie osoby zabite, wiele rannych.

Bułgar Georgiew, fabrykant tranu, usiłuje wykonać zamach na prefekta rumuńskiej policyi w Bukareszcie.

21 sierpnia.

Okazuje się, że uwięziony w Neapolu anarchista Maresci był wyznaczony do zamordowania prezydenta Stanów Zjednoczonych Mac-Kinleya.

22 sierpnia.

Gubernator prowincyi Szantung Juanszikaj umiera nagle, prawdopodobnie skutkiem samobójstwa.

23 sierpnia.

Krążą pogłoski o mobilizacyi bułgarskiej armiji. Rada gabinetowa bułgarska wzywa księcia Ferdynanda bawiącego w Niemczech do natychmiastowego powrotu.

W Berlinie policya rozwiązuje anarchistyczne zgromadzenie i odprowadza do więzienia przywódcę anarchistów Denwolfa.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Rosyjskie pisma chętnie umieszczają w przekładzie utwory wyszłe z pod pióra wybitniejszych autorów polskich. „Siewierozapadnoje Słowo“ podało niedawno tłomaczenie kilku poezyi K. Tetmajera z cyklu „Kobieta“, dokonane przez p. Fr. Jurjewskawo, tudzież „Pocałunek“ W. Gomulickiego. W „Minskim Listku“ znajdujemy nowelę M. Konopnickiej „Głupi Franek“; „Wołyń“ daje przekład noweli Zapolskiej p. t. „On“; „Rižskij Wiestnik“ umieścił nowelę Hajoty „Kwiaty zdrady“, a „Jużnoje Obozrenie“ wydrukowała nowelę: „Co za artysta?“ przez W. Kosiakiewicza.

* Prus zaczyna sobie zdobywać zagranicą, dawno należącą mu się popularność. Pierwsza zainteresowała się nim Anglia i wkrótce ukażą się w Londynie liczne przekłady arcydzieł naszego powieściopisarza. Na pierwszy ogień pójdzie znakomity „Faraon“.

* Czasopismo niemieckie „Alte und Neue Welt“ zapowiada, iż we wrześniu rozpocznie drukować przekład „Krzyżaków“ Sienkiewicya. Ciekawość, czy w smak pójdzie Niemiaszkom potężna epopeja, przedstawiająca we właściwem świetle „cywilizacyjną i nabożną działalność, zakonu krzyżowego?

* „Pieśń o Gdańsku“ W. Gomulickiego jest poematem opisowym, którego temat nie całkiem odpowiada rodzajowi twórczości poety. To też mimo wybitnych piękności wiersza, mimo olbrzymiej wprawy i smaku literackiego, który widnieje z całego poematu, brak prawdziwego natchnienia daje się często odczuć uważnemu czytelnikowi, a „Pieśń o Gdańsku“ nie doda nowych laurów do wieńca sławy, otaczającego już skroń poety.

* V tom „Historyi literatury polskiej“ Piotra Chmielowskiego opuścił prasy drukarskie. Obejmuje on epokę epigonów romantyzmu od 1830—1860.

* „Lais“ przez Kazimierza Lewandowskiego. Zbiór wierszy zatytułowany w ten sposób i wydany w podłużnym modern formacie, zaliczyć należy do t. zw. dekadenckiej literatury. Wybujały erotyzm, lubowanie się w dzikich przenośniach, tajemniczych nastrojach i jaskrawych obrazach stanowi wybitną jej cechę. Dla ludzi o zdrowych nerwach nie przedstawia „Lais“ nic ciekawego. Do tego aby wsłuchać się w oryginalną bądź co bądź harmonię słów, jaką wytwarza p. Lewandowski, wystarczy muzykalne ucho zwykłego śmiertelnika, lecz na wyciągnięcie z tej kaskady dźwięków barw i woni jakiejś myśli oryginalnej, trzeba być choć trochę neurastenikiem. Tam gdzie „profan“ widzi tylko słowa, otwierają się dla „wybranych“ natur olbrzymie przestwory nowych poglądów i myśli. Niemałą rolę gra w tem autosuggestya, do której wszakże nie każdy może być zdolnym. Książki w rodzaju „Lais“ są utworami wybujałego indywidualizmu, rodzajem zagadek, których rozwiązanie zna jedynie autor a czasem także szczupłe grono powierników jego myśli i nastrojów.

* O p. Przybyszewskim zaczyna się krytyka niemiecka coraz nieprzychylniej odzywać. W jednym z ostatnich numerów czasopisma „Das litterarische Echo“ umieszczono ocenę działalności twórcy „nagiej duszy“ z okazyi „Epipsychidiona“ i „Na tym padole płaczu“. Krytyk zarzuca p. Przybyszewskiemu wybujały egotyzm i niezrozumiałość.

TEATR, MUZYKA I SZTUKI PIĘKNE.

* Hamo Thorncroft, słynny rzeźbiarz, otrzymał z Londynu zamówienie na kolosalną statuę, mającą przedstawiać króla Alfreda Wielkiego. Wysokość samej figury będzie wynosiła 15 stóp, zaś z piedestałem wykutym w jednolitym granicie, stóp 35! Wagę tego ostatniego obliczają na 40 tonn!

* Sędziwy Verdi, nestor muzyków włoskich bawiący obecnie w Montecatini, został, jak donosi dziennik medjolański „Secolo“ bardzo głęboko dotknięty wiadomością o zamordowaniu króla Humberta. Grono dygnitarzy i znanych osobistości udało się doń z prośbą o napisanie „Requiem“ ku uczczeniu pamięci króla. W ten sposób naprawiony został choć w części wysoki nietakt, jakiego dopuszczono się w sferach dworskich, prosząc o dyrygowanie śpiewami żałobnymi Mascagniego, z zupełnem pominięciem genialnego twórcy „Aidy“, który, mimo podeszłego wieku, góruje młodzieńczą świeżością melodyi i potęgą twórczą nad całym tuzinem Mascagnich i Puccinich.

* Dyrektor „Opéra-Comique“ w Paryżu p. Carré zamierza przedstawić w nadchodzącym sezonie cały szereg oper, utworu młodych, mało dotąd znanych autorów. Ogłoszony temi dniami repertuar obejmuje między innymi: „Williama Ratcliffa“ Gabryela Leroux; „L'Ouragan“ Alfreda Bruneau; „La fille de Tabarin“ Gabryela Pierné; „La Famille Jolicoeur“ Artura Coquard; „La chambre bleue“ Juliusza Buval; „Titania“ Jerzego Hué; „Péléas et Mélisande“ (tekst według znanego utworu Maurycego Maeterlincka) Debussy'ego i „La Harpe et le Glaive“ Laurensa. Jak widać, wcale pokaźny szereg autorów, dotąd. z małymi wyjątkami, prawie zupełnie nieznanych. Niema co mówić; p. Carré ma widocznie dużo odwagi i pieniędzy, skoro nie obawia się eksperymentów z protegowaniem młodych autorów! Na przypadek ewentualnego fiaska przyszłych geniuszów ma jednak przezorny dyrektor całą baterye ciężkich dział, notorycznie „kasowych“ oper, z których wymieniamy: Mozarta „Don Juana“, i „Wesele Figara“, Glucka „Armidę“, Webera „Wolnego strzelca“ i „Gounoda „Mireille“

* Teatr Kedywa w Kairze pozostaje nadal w rękach „egipskiego stowarzyszenia miłośników sztuki“. Repertuar liryczny obejmuje między innymi: „Salambo“, „Walkiryę“ oraz „Ifigenię w Taurydzie“; dramatyczny będzie ułożony przez słynną aktorkę Jane Hading, zaangażowaną wraz z całą trupą na przeciąg sezonu.

* „Orlę“ (L'aiglon), Rostanda ma być przerobione na operę. Muzykę pisze Izydor de Lara, autor „Messaliny“.

* „Théatre de la Monnaie“ w Brukseli wystawi w październiku „Tristana i Izoldę“ Wagnera, w listopadzie „Siegfrieda“ tegoż kompozytora i „Louizę“ Charpentier'a graną obecnie z powodzeniem w Paryżu. Ku uczczeniu 150 rocznicy śmierci Mozarta danem będzie „Uprowadzenie z Seraju“ i „Bastien i Bastienne“. Na zakończenie sezonu wystawi dyrekcya „Henryka VIII“ Saint-Saënsa i „Götterdämmerung“ Wagnera.

* Jan Reszke wystąpi w listopadzie jako Tristan na deskach opery paryskiej. Znakomity śpiewak jest obecnie trapiony silną niedyspozycyą, skutkiem czego projektowany wyjazd jego do Ameryki może uledz opóźnieniu.

* Statua Dawida, słynne dzieło Michała Anioła, znajdująca się we Florencyi, stała zrazu na Piazza dei Signori przed Palazzo Vecchio. Bedzie już 20 lat mniej więcej jak usunięto ją stamtąd i schowano, aby deszcze nie zniszczyły arcydzieła nieśmiertelnego twórcy „Mojżesza“. Teraz utworzył się zaś komitet złożony z artystów, który zbiera składki na sporządzenie wiernej kopii statuy Dawida, celem ustawienia jej na wyżwspomnianym placu.

* W Petersburgu umarł na chorobę sercową w młodym stosunkowo wieku rosyjski pejzażysta Levitan. Najsłynniejsze jego obrazy: „Wieczór na Wołdze“, „W wiecznym spokoju“, „Władimirska“ i w. i. znajdują się w galeryi Tretiakowa w Moskwie.

* Pomnik Gladstone'a niedawno odsłonięty w Atenach przy wielkim udziale publiczności, jest dziełem greckiego rzeźbiarza, Vitalis'a. Nadnaturalnych rozmiarów biust zmarłego męża stanu o uderzającem podobieństwie stoi, na skromnym masywnym postumencie.

* P. Józef Ryszkiewicz, art. malarz wystawił w Łodzi dyoramę przedstawiającą „Obronę Częstochowy“. Obraz przedstawia kościół Jasnogórski spowity w obłok dymów prochowych w chwili, gdy do twierdzy powraca wycieczka prowadzona przez Zamoyskiego, miecznika sieradzkiego. Po lewej stronie od widza, na stoku górv stoi sztab szwedzki otaczający Millera. Z baszty ks. Kordecki żegna krzyżem powracających wojowników.

Całość ma sprawiać dość silne wrażenie.

* Holger Drachmann, znany dramaturg duński ukończył nową sztukę ludową p. t. „Szary pokój“, do której wątku dostarczyło życie wychodźców amerykańskich. Teatry w Kopenhadze i Christianii przyjęły już sztukę do grania.

* Bez przyłbicy! Autor sztuki grywanej obecnie w teatrzyku „Fantazyi“, p. t. „Chassydzi“, zazdrośnie kryjący swą godność pod przyłbicą pseudonimu, uważał za właściwe odsłonić ją, lecz tylko wobec czytelników „Hacefiry“..., w której reklamuje swój „teatersztyk“ po żargońsku, czy też po niemiecku.



Jestem sobie socyalista
Szpagatówkę dzielnie trąbie
Mnie natchnienie daje „czysta“
A idei szukam w „bąbie“.

Sami siebie cenić chciejmy:
Gdym raz z sądem miał ambaras
Sędzia śledczy, pan uprzejmy
Poprosił mnie siedzieć zaraz!

Motto: *Cudze chwalicie, swego nie znacie — Sami nie wiecie, co posiadacie.*

P. T.

Podejmując poprzednie wydawnictwo „Kraj w obrazach“ z przekonaniem, że nowość ta zainteresuje najszerszy ogół, starałem się przez dokładność materyału i dbałość o estetyczną stronę wydawnictwa, na które to warunki główny kładę nacisk, odpowiedzieć zadaniu pierwszorzędnej publikacyi illustrowanej z treściwemi, możliwie dokładnemi objaśnieniami, dotyczącemi dat historycznych, tudzież szczegółów odnoszących się do przeszłości i teraźniejszego stanu danej **okolicy, miasta, gmachu** lub **zabytku historycznego,** zebranych przez pierwszorzędnych pisarzy naszych. Ukończyłem Seryę I. „Królestwo Polskie“ i przystępuję do wydawnictwa Seryi II. „Galicya w obrazach“.

Wydawnictwo składać się będzie z 24 do 30 zeszytów, a każdy zeszyt obejmie widoki fotodrukowe w rozmiarze $^{19}|_{24}$ ctm., a w ten sposób Galicya utworzy album z około 120 obrazów.

Odpowiedzialny redaktor na Galicyę: ***Edmund Kolbuszowski.***

Wydawca: ***Konstanty Woźniak.***

WARUNKI PRENUMERATY:
NA
„GALICYĘ W OBRAZACH“

Cena pojedynczego zeszytu wynosi 60 hal. (groszy).

Prenumeratorzy, płacący z góry przy rozpoczęciu „Galicyi w obrazach“ 15 koron (za całość) bez względu na to, że ilość zeszytów odpowiednio do materyału może być powiększona, otrzymają ozdobną okładkę za połowę ceny sprzedażnej.

Nadto za przysłaniem 2 koron na opakowanie z wysyłką, otrzymają

bezpłatnie 5 premij wartości 18 koron

a to:
- obraz **„Kazanie Skargi“** z oryginału Jana Matejki wielkości ($^{48}|_{63}$ ctm.),
- Album ilustrowane **„Odsłonięcie pomnika Mickiewicza w Warszawie“,**
- Album illustrowane **„Ogniem i Mieczem“** podług rysunku **Juliuszo Kossaka,**
- Poczet **„Królów polskich“** na kredowym papierze wielkości ($^{63}|_{5}$ ctm.)
- i **100 kart korespondencyjnych z widokami krajowymi.**

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor: **Kazimierz Ehrenberg.**